Wojewódzka Biblioteka Publiczna CZYTELNIA w Opolu

Kolekcja
Emila Kornasia

Nr. 24 LWÓW, MARZEC 1926 Rok III

PANTEON POLSKI

POŚWIĘCONY BOHATERSKIM CZYNOM ŻOŁNIERZA POLSKIEGO, KRONICE WALK O NIEPODLEGŁOŚĆ, PAMIĘCI I CZCI POLEGŁYCH OBRONCÓW OJCZYZNY O NIEPODLEGŁOŚĆ POLSKI W LATACH 1914—1921

WYCHODZI KAŻDEGO MIESIĄCA

LWÓW-SKRYTKA 98 — — — — — — WYDAJE I REDAGUJE KOMITET WYDAWNICZY — — — — — — LWÓW-SKRYTKA 98

KOMENDANT NA SWEJ KASZTANCE

ZESZYT POŚWIĘCONY JÓZEFOWI PIŁSUDSKIEMU zawiera: J. Piłsudski o sobie. — Zawiszanki: Gorycz wielkości. — Jak został wykradziony Józef Piłsudski. — Marji Zawiszanki: Mąż stanu, Dmowski o Piłsudskim, liczne ilustracje, poezje a także Ks. J. Panasia: Rarańcza, Huszt, Marmarosz Sziget, pamiętniki z czasów przejścia II-Bdy i procesu Legjonistów. — J. B. Chołodeckiego: Tadeusz, Jan i Halina Grabscy, przepiękna opowieść rycerska. — Wł. Wąsowicza: Z pobytu legjonistów w Sławkowie. — Życiorysy i zgon: Mieczysława Skulskiego i kilkunastu innych bohaterów z czasów Legjonów, Obrony Lwowa i Kresów.

Należytość pocztową uiszczono gotówką.

KOMENDANCIE!

Dzień 19 marca, w którym naród składa Tobie Komendancie życzenia — jest dla nas dniem radości i szczęścia, bowiem znowu możemy złożyć żołnierski raport posłuszeństwa i wierności Twoim ideom i dążeniom!

Dzień ten jest rewją uczuć i serc tych wszystkich, którzy nie rozpłynęli się w szale jak najprędszego zniszczenia tego, co Ty — Komendancie — urzeczywistniłeś Twoją niezłomną wolą i niezmiernymi trudami.

Dzień ten jest także sposobnością zameldowania Tobie — Komendancie, że dopóki jedna kropla krwi w żyłach naszych płynąć będzie — póty Twoja wola będzie dla nas rozkazem a rozkaz ten jedynym i ostatecznym!

Żyj więc nam Komedancie w pełnem zdrowiu i w pewności, że chłopcy Twoi są zawsze gotowi a serce Twoje niechaj płonie radosnem przeświadczeniem, że żołnierz ten, którym Ojczyźnie wolność przywróciłeś, jest jedyną silną podstawą narodowego bytu naszego i, że tak ten w mundurze jak i legjon innych przy różnych warsztatach pracy — czekają chwili tej, byś aureolą Twego wielkiego ducha i posłannictwa jak najszybciej przyświecał wszystkim, którzy w sercach i pracy swej — niczego nie chcą widzieć — jak tylko dobrze służyć Państwu i Narodowi! Imieniem tych wszystkich wołamy:

KOMENDANT JÓZEF PIŁSUDSKI, PIERWSZY MARSZAŁEK POLSKI
NASZ WÓDZ I ORĘDOWNIK — NIECH NAM ŻYJE I PRZEWODZI!

JÓZEF PIŁSUDSKI O SOBIE!

(„PROMIEŃ“ — 1903 R.)

Nazwałem siebie socjalistą w roku 1884-ym. Mówię — nazwałem, bo nie oznaczało to wcale nabycia niezłomnych i utrwalonych przekonań o słuszności idei socjalistycznej. Byłem wówczas w gimnazjum wileńskiem, należałem do kółka „Spójnia“, zawiązanego kilka lat przedtem, i razem ze swymi kolegami uległem modzie socjalistycznej, którą nam przywieźli starsi koledzy, studenci uniwersytetu petersburskiego. Otwarcie wyznaję, że było to modą, bo inaczej trudno mi nazwać ówczesną epidemję socjalizmu, która ogarnęła umysły młodzieży rewolucyjnie, czy tylko opozycyjnie usposobionej. Ogarnęła zaś do tego stopnia, że nikt z inteligentniejszych i energiczniejszych mych kolegów nie uniknął w swym rozwoju przejścia przez etap socjalistyczny. Jedni zostali już socjalistami, drudzy przeszli do innych obozów, trzeci wreszcie wyrzekli się wszelkich aspiracji społecznych, lecz każdy z nich przez czas dłuższy lub krótszy był socjalistą.

Przedewszystkiem więc, mówiąc o sobie, muszę wyjaśnić, czemu byłem w owym czasie rewolucyjnie usposobionym. Urodziłem się na wsi, w szlacheckiej rodzinie, której członkowie zarówno z tytułu, starożytności pochodzenia, jak i dzięki obszarowi posiadanej ziemi należeli do rzędu tych, co niegdyś byli nazywani *bene nati et possesionati*. Jako *possesionatus* nie zaznałem długo żadnej troski o materjalne rzeczy i otoczony byłem w dzieciństwie pewnym komfortem. A, że rodzeństwo moje było liczne i rodzice względem nas byli bardzo łagodni i serdeczni, mógłbym nazwać swe dzieciństwo — sielskiem, anielskiem. Mógłbym — gdyby nie zgrzyt jeden, zgrzyt, który sępił czoło ojca, wyciskał łzę z oczu matki i głęboko się wrażał w mózgi dziecięce. Tym zgrzytem było świeże wspomnienie o klęsce narodowej 1863 roku (urodziłem się w 1867 r.).

Matka, nieprzejednana patrjotka, nie starała się nawet ukrywać przed nami bolu i zawodów z powodu upadku powstania, owszem wychowywała nas, robiąc właśnie nacisk na konieczność dalszej walki z wrogiem ojczyzny. Od najwcześniejszego dzieciństwa zaznajamiano nas z utworami naszych wieszczów, ze specjalnem uwzględnieniem utworów zakazanych, uczono historji polskiej, kupowano książki wyłącznie polskie. Ten patrjotyzm rewolucyjny nie miał określonego kierunku społecznego. Matka z naszych wieszczów najbardziej lubiła Krasińskiego, mnie zaś od dzieciństwa zachwycał zawsze Słowacki, który też był dla mnie pierwszym nauczycielem zasad demokratycznych. Były one naturalnie u dziecka bardzo niejasne i mgliste, lecz przy

Dom rodzinny J. Piłsudskiego w Żułowie (Wileńskie)

moim żywym i nieco przekornym charakterze, utrwalały się przy każdym sporze, które niekiedy matka żartem prowadziła.

Po za książkami tyczącemi się Polski, czytałem dosyć dużo najróżnorodniejszych książek, wszystko co mi tylko nawinęło się pod rękę. Najwyższe wrażenie sprawiały na mnie książki opisujące byt narodów klasycznych — greków i rzymian. Prawdopodobnie dlatego, że były przepełnione szczegółami walk o Ojczyznę i opisami bohaterskich czynów. Oprócz tego byłem rozkochany w Napoleonie i wszystko, co się tego mego bohatera tyczyło, przejmowało mnie wzruszeniem i rozpalało wyobraźnię. Wszystkie zaś marzenia moje koncentrowały się wówczas koło powstania i walki orężnej z moskalami, których z całej duszy nienawidziłem, uważając każdego z nich za łajdaka i złodzieja. To ostatnie zresztą było zupełnie usprawiedliwionem. W owym czasie Rosja wylała na Litwę szumowiny swoje, najpodlejsze elementy, jakie posiadała, a opowiadania o łajdactwach i barbarzyństwie tej hordy Murawiewa były na ustach wszystkich.

Zaznaczyć jeszcze dla ścisłości muszę że matka od najwcześniejszych lat starała się rozwinąć w nas samodzielność myśli i podniecała uczucie godności osobiste, której w moim umyśle formułowało się w sposób następujący: Tylko ten człowiek wart nazwy człowieka, który ma pewne przekonanie i potrafi je bez względu na skutki wyznawać czynem.

Z takiem usposobieniem i poglądami, o ile dziecinne myśli poglądami można zwać, wszedłem w progi szkolne. Zostałem uczniem pierwszego gimnazjum wileńskiego, mieszczącego się w murach dawnego uniwersytetu wileńskiego, byłej *alma mater* Mickiewicza i Słowackiego. Wyglądało tu naturalnie inaczej niż za ich czasów. Gospodarzyli tu, uczyli i wychowywali młodzież pedagodzy carscy, którzy do szkoły wnosili wszystkie namiętności polityczne, a za system mieli możliwe zgnębienie samodzielności i godności osobistej swych wychowanków. Dla mnie epoka gimnazjalna była swego rodzaju katorgą. Byłem co prawda chłopcem dosyć zdolnym, nigdym się nie zamęczał pracą i z łatwością przechodziłem z klasy do klasy, lecz gniotła mię atmosfera gimnazjalna, oburzała niesprawiedliwość i polityka pedagogów, nużył i nudził wykład nauk. Wołowej skóry by nie starczyło na opisanie bezustannych poniżających zaczepek ze strony nauczycieli, hańbienia wszystkiego, com się przyzwyczaił szanować i kochać. Jak silnem było wrażenie tego systemu pedagogicznego na mój umysł, można sądzić z tego, że dotąd jeszcze, gdym już przeszedł przez więzienia i Sybir, i miał do czynienia z czynownikami różnego gatunku, w każdym przykrym śnie odgrywa taką lub inną rolę którykolwiek z moich miłych pedagogów wileńskich.

W takich warunkach nienawiść moja do carskich urządzeń, do ucisku moskiewskiego wzrastała z rokiem każdym. Bezsilna wściekłość dusiła mię nieraz, a wstyd, że w niczem zaszkodzić wrogom nie mogę, że muszę znosić w milczeniu deptanie mej godności i słuchać kłamliwych i pogardliwych słów o Polsce, Polakach i ich historji, palił mi policzki. Uczucie przygnębienia, uczucie niewolnika, którego w każdej chwili, jak robaka zgnieść mogą, leżało mi na sercu kamieniem młyńskim. Lata mego pobytu w gimnazjum zaliczam zawsze do najprzykrzejszych w swem życiu.

Marząc ciągle o powstaniu, zacząłem się wówczas zastanawiać, czemu dotychczasowe się nie udały. Książek odpowiednich nie było, kłopoty majątkowe nieco oddaliły moich rodziców od dzieci, w rozmowach zaś starszych o ostatniem powstaniu mówiono bardzo mało, a to co mówiono, było dla mnie wstrętnem — uważano bowiem, że powstanie było, nietylko błędem, lecz i zbrodnią. Ze specjalną więc ciekawością czytałem to, co mogłem dostać, o rewolucji francuskiej. Podłoża społecznego tego ruchu naturalnie nie rozumiałem, natomiast byłem zachwycony zapałem i zajadłością rewolucyjną, oraz udziałem wielkich mas ludowych. A gdym się zapytał, czemu my, Polacy, nie zdobyliśmy się na taką energję rewolucyjną, znalazłem jedyną odpowiedź — byliśmy i jesteśmy gorsi od Francuzów. Był to wielki cios zadany mojej dumie narodowej, lecz czekał mię jeszcze silniejszy. W owe czasy głośną była na całym świecie walka „Narodnej Woli" rosyjskiej z caratem. Odgłosy tej walki dochodziły naturalnie do Wilna i bohaterstwo jej nie mogło nie imponować mojej romantycznej głowie. Zarazem w Polsce

J. Piłsudski w latach szkolnych

było cicho. „Proletarjat", który wówczas działał w Warszawie, o tyle był słabym, że wpływy jego prawie nie dochodziły do Wilna, a poza nim w społeczeństwie polskiem, wyczerpanem walką 1863 roku, było tyle strachu, tyle czarnej reakcji, tyle oburzenia na każdą myśl żywszą, że porównanie Rosji z Polską wypadało wówczas dla mnie zawsze na korzyść Rosji. Byłem tem wprost upokorzony i stałem na rozdrożu.

W tym właśnie czasie przyszła socjalistyczna moda. Moda ta dla nas, wilnian, szła z Wschodu, z Petersburga. Dla siebie osobiście uważam to za szczęście. Gdybym się spotkał w owym czasie z socjalizmem warszawskim, negującym otwarcie sprawy narodowościowe i występującym przeciwko tradycji powstańczej, byłbym tak opornym na jego wpływy, że razem z tymi niepotrzebnemi według mnie dodatkami, odrzuciłbym i samą ideę socjalistyczną. Petersburski socjalizm nie wymagał tej ofiary odemnie, a zarazem dawał mi pewną nić przewodnią, pewien światopogląd, który wobec rozbicia poprzedniego z łatwością zajął jego miejsce.

Petersburski, a raczej rosyjski ówczesny socjalizm nie był wcale tem, co obecnie ludzie nazywają tem imieniem. Była to dosyć dziwna mieszanina krytyki socjalistycznej burżuazyjnego ustroju z anarchistycznym ideałem samorządnych komun, oraz z reakcyjną do pewnego stopnia wiarą w naród rosyjski, w którym, jakoby w przeciwieństwie do burżuazyjnego Zachodu tkwiły pierwiastki komunistyczne w całej okazałości. Dla Europy socjalizm ten był nadkrytycznym, dla Rosji zaś pobłażliwym i w owym czasie przetwarzał się w najzwyczajniejszy radykalizm inteligencki, w którym ów mesjanizm rosyjski służył, jako parawanik dla zakrycia braku pracy nad podniesieniem świadomości rosyjskiego ludu pracującego.

W umysłach młodzieży polskiej w Wilnie ten dziwny socjalizm przełamywał się w sposób rozmaity. Niektórzy, pod jego wpływem, rusyfikowali się zupełnie i zrywali ze wszystkiem, co polskie. Inni — a do tych należałem i ja — przyjmowali do pewnego stopnia, naturalnie bez sprawdzenia, twierdzenia rosyjskie o ich narodzie, natomiast główną zwracali uwagę na krytykę ustroju burżuazyjnego, w Europie, którą to krytykę naturalnie przenosiliśmy i na swoje własne społeczeństwo. Studja swoje nad socjalizmem odbywaliśmy, czytając rozmaite rosyjskie utwory publicystyczne, dzieła Lavelaye'a i Iwaniukowa. Co do mnie, rosyjskiej publicystyki — Dobrolubowych, Pisarewych, Czernyszewskich, Michajłowskich — nie znosiłem. Nużyła mię ta rozwlekła gadanina, niejasna i mglista z mnóstwem aluzji do wypadków z życia społecznego i literackiego Rosji, która dla mnie była zupełnie obcą. Parę rzeczy tych pisarzy, którzy stanowili niezbędną szkołę każdego z socjalistów rosyjskich, przeczytałem dopiero na wygnaniu, kilka lat potem, i przyznam się, zwykle działały one na mnie strasznie usypiająco.

Takim, płytkim bardzo socjalistą, wyruszyłem w 1885 roku do uniwersytetu charkowskiego. Polska młodzież, którą tu zastałem, nie zaimponowała mi. Była dosyć apatyczną, bez żadnych silniejszych aspiracji społecznych, ci zaś, co je mieli, byli prawie zupełnie zrusyfikowani. Rosyjscy studenci byli bardziej żywi, energiczni i ruchliwi. Starano się wciągnąć mnie do organizacji studenckiej „Narodnej Woli", lecz stanowczo się temu oparłem, chodziłem tylko na posiedzenia kilku kółek samokształcenia, gdzieśmy czytali również nudnego dla mnie Ławrowa. Książek polskich było tu mało, tęskniłem więc do kraju i do innego środowiska. Nieco zelektryzowała mię wiadomość o „Proletarjacie" w Warszawie — akurat wówczas odbywał się sąd nad proletarjatczykami, lecz żadnych informacji o nim wówczas zasiągnąć nie mogłem. Przyszedłem tylko do przekonania, że trzeba zawiązać jakąś organizację, która by wypracowała program roboty socjalistycznej i u nas w domu.

Z tą myślą zwierzyłem się z tego projektu paru kolegom wilnianom po powrocie z uniwersytetu na wakacje. Koledzy zgodzili się na to i uformowało się kółko, składające się ze studentów petersburskich oraz mnie i kilku kolegów, którzy po ukończeniu gimnazjum pozostali w Wilnie. Postanowiliśmy wydawać dla siebie samych pisemko hektografowane i pracować nad wypracowaniem programu, odpowiadającego potrzebom kraju. Wobec tego, że dzięki drobnym uchybieniom formalnym władza uniwersytecka w Charkowie wzbraniała się przyjąć mię na następny rok do uniwersytetu, postanowiłem rok ten pozostać w Wilnie, by potem jechać zagranicę dla dalszego kształcenia się.

W tym to czasie trafiły mi do rąk po raz pierwszy broszurki socjalistyczne polskie — Młota „Kto z czego żyje" i Liebknechta „W obronie prawdy". Podobały mi się one znacznie więcej i trafiły bardziej do przekonania, niż czytane dotychczas odpowiednie wydawnictwa „Narodnej Woli". Zatem postanowiłem bliżej się zapoznać z samym socjalizmem i przeczytałem po rosyjsku pierwszy tom „Kapitału" Marksa. Nie powiem, by ta lektura sprawiła na mnie wielkie wrażenie. Chociaż wpływ rosyjski był niewielki, zdołał jednak zrobić pewne anarchistyczne spustoszenia w mej głowie. Abstrakcyjna logika Marksa oraz panowanie towaru nad człowiekiem nie pasowało do mego mózgu. W każdym razie lektura ta pogłębiła znacznie moje poglądy na społeczeństwo i bezwiednie zacząłem ulegać wpływowi logicznie zbudowanej koncepcji Marksa.

Zresztą nie bardzo miałem czas na zastanawianie się nad sprawami teoretycznemi. Prowadziłem parę kółek samokształcenia, zawiązałem trochę stosunków z robotnikami wileńskimi, zbierałem książeczki ludowe, hektografowałem nasze pisemko. Roboty było huk. Kółko nasze programu żadnego nie wypracowało, wyklarowało się jedynie, że wszyscy kładziemy nacisk na sprawę obrony od brutalnego wynaradawiania ludu, praktykowanego przez rząd rosyjski na Litwie. Z polskim ruchem w Królestwie nie mieliśmy nic wspólnego, bo był to czas zupełnego rozbicia „Proletarjatu".

Na początku roku 1887-go zostałem aresztowany w sprawie zamachu na życie Aleksandra III., do której

J. Piłsudski na Syberji w 1887 r.

to sprawy, ja i brat starszy, wówczas student petersburskiego uniwersytetu, wypadkowo byliśmy zamieszani. Brat poszedł na katorgę, mnie skazano na 5 lat wygnania do Wschodniej Syberji. I tu dopiero, gdym spokojnie mógł rozmyślać nad wszystkiem, com przeszedł, stałem się tem, czem jestem.

Przedewszystkiem wyleczyłem się gruntownie z resztek ówczesnego rosyjskiego wpływu i przy bliższym poznaniu, jak mnóstwa przedstawicieli ruchu rosyjskiego, tak również i literatury oraz publicystyki rosyjskiej przestałem przeceniać znaczenie i siłę rewolucji rosyjskiej. W ten sposób oczyściłem sobie nie jako drogę dla wpływów zachodnio-europejskich. Następnie w Syberji, gdzie wobec braku kultury, czynniki społeczne występują bez osłonek w całej swej nagości, przyjrzałem się bliżej maszynerji caratu, oraz jego wpływowi na życie ludzkie w samej Rosji i znienawidziłem ten potwór azjatycki, pokryty pokostem europejskim, jeszcze bardziej. Wreszcie rozmyślania i książki (tu zniechęcony Spencerem, przeczytałem jeszcze raz Marksa) ugruntowały mię w socjaliźmie. Zrozumiałem wówczas, że nie jest on tylko ideą szlachetnych ludzi, marzących o uszczęśliwieniu ludzkości, lecz staje się realną potrzebą ogromnej masy ludu pracującego z chwilą, gdy kulturalny i społeczny rozwój umożliwia mu zrozumienie zasad tej idei.

A gdym się zastanawiał nad narodem, z którym mię wiązało wszystko, co cieszy i wszystko, co boli, wszystko, co we mnie myśli i wszystko, co czuje, przechodziłem do przekonania, że moje dziecinne marzenia i rojenia zespalają się z moim młodzieńczym światopoglądem. Socjalista w Polsce dążyć musi do niepodległości kraju, a niepodległość jest znamiennym warunkiem zwycięstwa socjalizmu w Polsce.

Na Syberji również poznałem dokładniej pierwsze kroki socjalizmu w Polsce. Jako kolegów wygnania miałem tow. Landego i kilku proletarjatczyków, oprócz tego miałem możność przeczytania wielu socjalistycznych wydawnictw polskich, z któremi nie spotykałem się w Wilnie.

Ostatecznie postanowiłem po powrocie do kraju wstąpić do „Proletarjatu" i starać się o zreformowanie go w kierunku, który obecnie nazywa się P. P. S-owym. A, że byłem odcięty od kraju i dalsze (po 1887 roku) ewolucje socjalizmu u nas były mi nieznane, z tem postanowieniem przyjechałem do domu w drugiej połowie 1892 roku, i... ku wielkiej swej radości przekonałem się, że moja zamierzona praca reformatorska już jest zbyteczną.

J. Piłsudski w gronie rodziny

* * *

Już strudzili się szermierze niemą śród burz wartą,
Liry ześpiew i sztandarów zgasł nad Trójrozdartą,
Już się kładła noc pogodzeń nad skarlałym duchem,
Już zaczynał proch niewoli być nam gniazda puchem.

Wtedy On wstał, od trzech króli oków darem witan,
Przez Tytany marzon śpiewne Wypełniciel-Tytan,
Skruszył rdzawą pokut ścianę i do blasku szczytów
Szedł, a naród wiódł za sobą, Prometej Lechitów.

Dziś u stóp Mu w pieśń się stroi klątew zawierucha,
Przed nim idzie światło zwycięstw, za nim światło ducha,
Skiba rosą z krwi się myje pod pługi stuleci,
Tak szedł Chrobry, tak Batory, tak On idzie trzeci.

Lecz my, naród, choć nam w tęczach Anioł błysł na czele,
Nie doroślim dróg słonecznych, które cud nam ściele,
Mętne dotąd a skłócone mórz lechickich fale,
Jeszcze pianą znaki kreślą po poddaństwa skale.

Jeszcze nie grzmi pean mocy od ląda do ląda...
A gdzieś z wyży On, jak gwiazda w nurtach się przegląda,
Czuwa, — w srebrnych nas promieni otula objęcie,
Iskier swoich dar bezcenny roni po odmęcie.

Polsko, Polsko, pij te blaski, zadrżyj światłem do dna,
Masz nietylko być nim szczęsna, masz stać Jego godna.

Julja Dikstelnówna

ZOFIA ZAWISZANKA

GORYCZ WIELKOŚCI

„Jeno patrzących w słońce oślepiają łuny
Jeno szyszek wysokich czół ściąga pioruny"...
L. Staff

Nieomylnym instynktem wyczuwamy w naszym Komendancie wielkość. Wielbiąc ją, służąc jej wedle sił, z nieporównaną „wesołością duszy", dziwimy się boleśnie, że jesteśmy w tem odosobnieniu, że ukochany Wódz spotyka się na każdym kroku, w naszych oczach, z niezrozumieniem, a nawet z nienawiścią, że Mu kamienie ciskają pod nogi ciągle właśni rodacy. Wszakże oni też „mają oczy ku patrzeniu — a nie widzą"! — zaprzeczają też temu, co my uważamy za oczywiste.

A przecież niema w tem nic a nic dziwnego. Od początku swych dziejów ludzkość zdradza jakąś samobójczą tendencję do tępienia tych właśnie pędów, co z niej wystrzelają najwyżej, najdumniej. To tak, jakby negowała wieczyście (za sprawą zapewne owego ducha, „der stets verneint"...) [1]) własnej najgłębszej racji bytu!

Prawda: w życiu każdego niemal z wielkich ludzi jest okres chwały i powodzenia — lecz on nigdy nie trwa długo. Jest to, jakby świetliste tło, na którem odbija tem czarniej klęska jednostki, nieuchronnie snać potrzebna, wedle tajemnych praw świata, aby tryumfować mogło po wieki jego dzieło...

G. Hanotaux, najinteligentniejszy może z biografów Dziewicy Orleańskiej, rozpamiętując jej dzieje, nazywa odwieczną ową tragedję „tajemnicą opuszczenia". „Pokolenia drepczą w błocie — mówi on — zanim nie znajdą przewodnika. Lecz dramat, tak wzruszający, tkwi w tem, że ów przewodnik wyższy, ów nadczłowiek, zawsze jest z początku słuchany i podziwiany, lecz potem zawsze opuszczony za życia, że bywa poświęcony zawsze, a uczczony dopiero po śmierci" [2]).

Czy wiele jest przesady w tem mocnem uogólnieniu? Zapytajmy tylko „mistrzyni życia — historji"...

W Grecji ginęli wszyscy niemal najwybitniejsi przewódcy, z woli ludu, któremu służyli. Ateńczyk Miltiades, bohater Maratonu, zasłużył na wdzięczność całej Hellady, przez to samo, że pierwszy ją nauczył odpierać najezdców; dość było wszakże później jednego małego niepowodzenia, by rzucić mu ciężkie oskarżenie i wtrącić do więzienia, w którem umarł.

Słynny z prawości Arystydes, późniejszy zwycięzca z pod Platei, zmuszony został „sądem skorupkowym" do opuszczenia ojczyzny. Gdy podczas zgromadzenia zwierzył mu się nieznajomy wieśniak, że chce głosować za jego skazaniem — nieustraszony mąż spytał spokojnie:

— „Cóż za krzywdę wyrządził ci Arystydes, że się domagasz jego wygnania?"

— „Nie zrobił mi on nic złego, nawet nigdym go nie widział na oczy, ale mnie to gniewa, że wszyscy nazywają go sprawiedliwym..."

Dla tej samej przyczyny pozbyto się Temistoklesa, organizatora świetnej floty i groźnego pogromcy Persów w Salamińskiej bitwie. Wreszcie nawet skazano go zaocznie na śmierć, podejrzewając o zdradę, aż znalazł schronienie, dziwnem szyderstwem losu, u króla perskiego właśnie.

Syn Miltiadesa, Kimon, dzielnie kierował polityką Aten, wielbiony powszechnie — dopóki i on nie uległ zawistnemu wyrokowi rodaków.

Gdy Perykles uniknął jakimś cudem tego losu, pomszczono się na młodym jego synu, odpłacając mu kielichem trucizny za wygraną bitwę.

Sokrates musiał wypić cykutę, bo zanadto rozrosły się jego wpływy i sława mądrości.

Nie lepiej się wiodło natchnionym prorokom izraelskim. Izajasza kazał król wsadzić w drzewo spróchniałe i przerżnąć piłą na dwoje. Na życie Jeremiasza dybali kapłani i lud, aż póki go nie utopiono w dole, pełnym błota.

Wreszcie sam Jezus Chrystus „skonem swym śmierć zgładził" [3]) zamęczony na krzyżu przez ludzi, gdyż zbyt bosko ich umiłował.

A za Nim idzie cała falanga męczenników, najlepszych ludzi epoki, którzy krwią własną świadczą radośnie o Prawdzie ujrzanej. I później, w średniowieczu, gdy sprawa religji dominowała nad wszelkiemi innemi — ani reformator-heretyk, ani wielki święty nie uszedł prześladowania. Wszak św. Franciszek z Assyżu ciężką przebył walkę z Kościołem, zanim dzieło jego uznano.

Genjalna chłopka-rycerka, Joanna d'Arc, zginęła na stosie, przez wroga wprawdzie podpalonym, lecz za milczącą zgodą rodaków — za to, że ich wyrwała ze straszliwego jarzma najezdcy... Po pięciu dopiero wiekach kanonizowała ją ta sama instytuacja, co niegdyś wydała wyrok na nią!

A cóż mówić o bohaterach nauki? Galileusz, zamknięty w więzieniach Inkwizycji, za głoszenie teorji Kopernika, musiał „błędy" te na klęczkach odwołać, aby ocalić życie. Krzysztof Kolumb umarł w nędzy, gdy na odkrytym przezeń lądzie panoszył się wyzysk i okrucieństwo zdobywców...

Czasy nowsze, nie dają już tak jaskrawych przykładów — lecz dusza ludzka nie przetworzyła się

[1]) Goethe.

[2]) G. Hanotaux „Jeanne d'Arc" str. 214.

[3]) Ze starych modlitw mszalnych.

z gruntu bynajmniej i po dawnemu „zawiść wlecze się zawsze za śladem tryumfu, jak mała, ruda psina“[4]). Nie potrzeba jej stosów, krzyżów, ani „sądów skorupkowych“, aby spętać lub złamać skrzydła, rwące się „nad poziomy“.

Jakże było w Polsce? Warto się przyjrzeć twardym zmaganiom hetmana Żółkiewskiego z małoduszności naszej szlachty. Nie palono u nas żywcem nikogo, ale zamęczano na śmierć nieraz biernym oporem, nieufnością, oszczerstwem. Niesforne społeczeństwo dawnej Rzeczypospolitej bardzo przypomina zazdrosną i okrutną demokrację ateńską. W ciągłych z niem starciach wyczerpała się prawie, przez 10 lat panowania, cierpliwość nieugiętego króla Batorego.

Bardzo ciekawą książkę możnaby ułożyć z samych — bez komentarzy — cytatów z różnych naszych gazet i broszur z czasów porozbiorowych, zawierających najfantastyczniejsze, a obelżywe nieraz zarzuty przeciw Kościuszce, księciu Józefowi, Henrykowi Dąbrowskiemu. Wszak po uniwersale połaniecckim rozpętała się istna burza przeciw „jakobinizmowi“ Kościuszki — sypały się, jak grad, pamflety i niecne inwektywy. Dąbrowski, wśród niezmordowanego budowania Legjonów, też niemało nałykał się goryczy. A książę Józef Poniatowski, po zwycięstwie pod Raszynem, przemykać się musiał chyłkiem bocznemi uliczkami Warszawy, aby go lud wzburzony nie rozszarpał.

Dopiero po wielu latach stały się te imiona — już w napisach nagrobnych — sztandarami polskiego honoru, ofiarności, męstwa.

W tym długim, długim szeregu wielkich ludzi, staje godnie Józef Piłsudski.

Jeśli nas i Jego samego ogarnia już nieraz „wstręt do znoszenia ubliżeń“[5]) — to pora powiedzieć sobie jasno, że to właśnie było po wszystkie czasy chlebem powszednim mężów Jego miary. Kto wie, gdyby ludzkość nauczyła się wreszcie oceniać za życia bohaterów swoich, to może przestałaby ich już potrzebować? Wszak dziecko najmniej może obejść się bez matki wtedy właśnie, gdy nie jest jeszcze zdolne pojąć ani miłości jej, ani zasługi.

Doprawdy, gdyby nikt dzisiaj nie szarpał czci Komendanta, gdyby się przed nim pochylały kornie wszystkie głowy — to przyszłoby wątpić, czy wielkość jego jest istotna. O, przeciwnicy! Wasza to żywiołowa nienawiść stwierdza, że się nie mylimy!

Ten pokraczny, „zapluty karzeł“,[5]) co przedrzeźnia jego gesty i przekręca każde słowo — jest bardzo stary, pamięta jeszcze Helladę, gdzie nazywał się może „Mizomegalos“. Nie jadał on nigdy byle czego: żywił się najlepszemi mózgami i sercami, jakie mógł znaleźć na ziemi — to też żyje dotąd i dobrze mu się powodzi.

A przecie i on czasem opuszcza ręce bezradnie... Stało się to dnia pewnego w Atenach kiedy, pod grozą nowego perskiego najazdu, przywołano z wygnania Arystydesa... Już go odtąd nie opuściła więcej miłość ludu — który przygarnął nawet dzieci jego, jak własne...

Podobnego szczęśliwego porywu życzyć można Polsce w dniu 19 marca 1926 roku. Czyż i u nas trzeba aż wroga w granicach, aby dokonał się cud taki?!

JAK ZOSTAŁ WYKRADZIONY JÓZEF PIŁSUDSKI

Piłsudskiego, ówczesnego redaktora „Robotnika“, aresztowano w lutym r. 1900 w Łodzi, po wydaniu przez niego 35 numerów pisma. Tajną drukarnię „Robotnika“ skonfiskowano. Istnienie Piłsudskiego, tego dla władz carskich niesłychanie niebezpiecznego przestępcy, zawisło na włosku. Z osadzonym w cytadeli warszawskiej aresztantem zdołała się porozumieć, z ramienia Cen. Kom. P. P. S., p. Paszkowska, za pośrednictwem wyjątkowo porządnego intendenta więziennego Siedelnikowa, i doradziła mu, aby symulował chorobę umysłową. W chorobę tę nie odrazu uwierzyły władze rosyjskie.

Wezwano eksperta ze szpitala Jana Bożego, Sabacznikowa, który orzekł, że Piłsudski powróci do zdrowia, ale na razie stan chorego jest niebezpieczny. Wobec tego władze postanowiły umieścić aresztanta, do czasu powrotu do zdrowia, w szpitalu i na ten cel wybrały szpital dla umysłowo chorych Mikołaja Cudotwórcy w Petersburgu.

Od tej chwili, z polecenia centralnych ciał partych, sprawa uratowania Piłsudskiego spoczęła w rękach petersburskiej organizacji P. P. S. Całą akcją kierował z ramienia Cen. Kom. Aleksander Sulkiewicz, wtajemniczając w szczegóły planu tylko niewielkie grono osób z organizacji petersburskiej.

Projekt ucieczki zmieniano kilkakrotnie, wreszcie zdecydowano się na plan, którego głównym wykonawcą miał być młody lekarz, dr. Mazurkiewicz. Oznajmiwszy rodzicom, iż powziął zamiar poświęcenia się specjalnie psychjatrji, dzięki stosunkom ojca dostał się do szpitala Mikołaja Cudotwórcy i po niedługim czasie mianowany został ordynatorem. Na noc, w którą przypadał pierwszy dyżur dr. Mazurkiewicza, to jest 1 maja 1901, według starego stylu przygotowano ucieczkę Piłsudskiego. Na wychodzacych głównem wejściem szpitalnem: dr. Mazurkiewicza z Piłsudskim, mieli czekać: Al. Sulkiewicz i Demidowicz-Demidecki, aby wspólnie przedostać się, w przygotowanej łodzi na drugi brzeg Newy, do zakonspirowanego mieszkania p. Czarnockiego, a stamtąd wysłać Piłsudskiego dalej. Sulkiewicz i Demidowicz-Demidecki czekali długo na umówionych

[4]) J. Delteil „Jeanne d'Arc“.

[5]) Własne słowa Komendanta z różnych wystąpień publicznych.

miejscach, a wreszcie widząc, że dawno minął wyznaczony termin wyjścia towarzyszy ze szpitala, pośpieszyli sami do mieszkania p. Czarnockiego, aby naradzić się, co dalej robić wobec niewątpliwego zdemaskowania się Mazurkiewicza i Piłsudskiego, — w najlepszym razie — konieczności odłożenia ucieczki na inny dzień.

Jakie było zdumienie obecnych, gdy po chwili wbiegli do mieszkania p. Czarnockiego Mazurkiewicz i Piłsudski, ostatni w przebraniu, w przygotowanem dla niego w szpitalu przez dr. Mazurkiewicza, przytem w szapoklaku — spadającym aż do brody, gdyż organizatorzy, myśląc o wszystkich szczegółach stroju, w którym zbieg byłby najbardziej zakonspirowany, zapomnieli tylko zmierzyć wielkość jego głowy.

Jak się okazało, ucieczkę opóźniły nieprzewidziane przeszkody. Dr. Mazurkiewicz skwapliwie udzielał tego wieczora urlopów wszystkim pracownikom szpitala, którzy się po urlop zgłaszali. Gdy przypuszczał, że już nic nie stanie mu na przeszkodzie, zjawił się korespondent jakiegoś pisma, który przez długi czas zanudzał go pytaniami na temat niepokojących podówczas Petersburg — rozpruwaczy kobiet. Wreszcie o godz. 8 wieczór — na wezwanie dr. Mazurkiewicza — stróż przyprowadził do jego pokoju „przestępcę Piłsudskiego", a sam dostał urlop na godzinę. W 10 minut Piłsudski przebrał się w przygotowane dla niego ubranie, ale gdy mieli wychodzić, okazało się nagle, że przy drzwiach frontowych stoi jakiś podejrzany osobnik. Przeszli więc tylnemi drzwiami, minęli siedzących na stopniach kilka osób ze służby szpitalnej, które z szacunkiem przywitały doktora, wychodzącego z obcym, nieznanym panem. A potem przeszli przez długie podwórze, wychodzące na inną zupełnie ulicę, niż ta, na której czekali Sulkiewicz z Demideckim — i wsiedli do dorożki, która na szczęście nawinęła się jakaś na pustej ulicy. Do mieszkania p. Czarnockiego przyjechali w kilka minut po Sulkiewiczu i Demideckim.

Pomimo, iż uplanowane na ucieczkę pociągi dawno już odjechały, Piłsudski uparł się, że jeszcze tego samego dnia opuści Petersburg. Pojechał rzeczywiście — wraz z Sulkiewiczem — do Kijowa, wprost do drukarni, gdzie wychodził „Robotnik", redagowany przez Feliksa Perla, dzisiejszego redaktora tejże gazety. Z Kijowa udał się Piłsudski w dalszą drogę; najpierw do znajomych na Polesie, a potem, przez lasy Zamoyskiego, zagranicę.

Dr. Mazurkiewicz przez czas jakiś ukrywał się w mieszkaniu Czarnockiego w Instytucie Leśnym; potem, gdy dalszy pobyt w Petersburgu stał się już zbyt niebezpieczny, wyjechał z Petersburga wraz z Demideckim, przyczem do ucieczki dopomógł mu inżynier kolejowy, Ignacy Ciszewski.

MĄŻ STANU

(NA MARGINESIE KSIĄŻKI DMOWSKIEGO)

We wszystkich, które mnie doszły, głosach na cześć Marszałka Piłsudskiego z okazji Jego imienin zeszłorocznych, razi mnie brak pewien i przemilczenia; wszystkie sławią bohatera, wodza i twórcę wojska — a pomijają męża stanu. A wszakże i ta druga rola jest Józefowi Piłsudskiemu tytułem sławy.

Miłość Ojczyzny... wojna za Ojczyznę... Pomimo całego zatrucia niewolą hasło święte elektryzowało serca i z wybuchem wojny nie garść, ale setki tysięcy żołnierza byłyby stanęły do walki o Polskę, gdyby dostały broń, a wiedziały przeciw komu walczyć powinny. Poryw ogarnął także w zaborze rosyjskim młodzież, która uwierzyła, że ratunek nasz jest w przymierzu z Rosją i zapragnęła pomóc jej ochotniczo przeciw Niemcom; Roman Dmowski ją zachęcał, uznawszy, że należy stworzyć kadry przyszłego wojska polskiego. Cała jednak akcja spełzła na niczem, bo Rosja położyła zaraz na niej swą łapę niedźwiedzią. Nie tylko to tedy jest zasługą Piłsudskiego, że pod broń powołał, ale także, że broni dostarczył, że w chaosie orjentacji utrafił jedyną drogę wówczas możliwą ku stworzeniu polskiej wartości bojowej. Powiodło mu się, przynajmniej częściowo, a powodzenie dzieła jest chlubą działacza.

Legjony walczyły przeciw śmiertelnemu wrogowi u boku drugiego, śmiertelnego wroga; pamiętał to Komendant i w przykrem tem przymierzu stał czujnie na straży polskiego honoru i korzyści. Dawszy poznać „sprzymierzonym wrogom" wartość żołnierza polskiego, rychło zaczął stawiać im wymagania i warunki, co w dalszym ciągu doprowadziło do aktu 5 listopada, potem do Magdeburga i Szczypiórny. Zdumiewająco umiał tu Komendant „*rem tenere*", zachować trafną busolę wśród mgieł sytuacji i zmysł krytyczny wobec własnego ukochanego dzieła. Jak to już podniesiono, nie przywiązuje się on ślepo do swych kreacji i gotów porzucić je, gdy widzi, że chybiają celu.

Przeciwnicy jego, co łaskawsi, nazywają to przyznaniem się do błędu i wycofaniem z błędu, bo zdaniem ich całe Legjony były błędem. Jeżeli tak sądzą i sądzili w listopadzie 1918 a potem w lutym, dlaczego przyłączyli się dwukrotnie do okrzyku, mianującego Piłsudskiego naczelnikiem? W takich chwilach ten, kto się pomylił., kto zbłądził, znika z widowni, jest to prawo socjologiczne. Niezbitym dowodem mądrej racji Legjonów jest to, że ich twórca w ważnej chwili dziejowej stanął na czele Narodu. I stało się to bez niczyich specjalnie zabiegów, stało się samo przez się, instynktownie czy żywiołowo. Nie mogło być mowy o nikim innym, ten był tylko jedyny.

Kursował swego czasu zarzut, że nasze wystąpienie ochotnicze przeciw Rosji zaszkodziło nam u jej sprzymierzeńców u zwycięskich potęg zachodu. Dmowski nie może już teraz akcentować tego zarzutu, bo na konferencjach pokojowych brakło już wschodniego soju-

sznika; potęga, z którą zadarł Piłsudski, przestała istnieć. Gorzej utrafił Dmowski, zadarłszy z potęgą, która szczęśliwie wyszła z wojny i na konferencjach zaszkodziła nam, jak on twierdzi, ogromnie — mianowicie z żydami [1]). Gdyby w Paryżu reprezentował Polskę kto inny, nie drażniący swym widokiem doradców Wilsona i Lloyd Georga, bylibyśmy może dostali Gdańsk i bez walk Pomorze, Śląsk.

Podczas gdy w Paryżu okrawano nam granice i zwlekano pół roku przysłanie nam Hallera, w Polsce panował zamęt. — „Żaden kraj — pisze Dmowski — po zakończeniu wojny nie znalazł się w tak niebezpiecznem położeniu, nie był do takiego stopnia pozostawiony własnym siłom. Żywotność naszego narodu została wystawioną na wielką próbę. Musiał on organizować swoje nowe państwo wśród otaczającego go ze wszech stron chaosu rewolucyjnego, sam zarażony w silnej mierze wpływami rewolucyjnemi, nadto w walce z sąsiadem bolszewickim, usiłującym rozszerzyć rządy „sowietów“ w Europie“. Tuż za ustępującymi Niemcami szedł na nas od wschodu zalew bolszewicki, Rusini zagarnęli Lwów, Prusacy trzymali jeszcze Poznań. Brakowało wojska i zaopatrzenia dla wojska, kraj był wyczerpany i ogłodzony, a w tworzeniu państwa pełno było trudności i niebezpieczeństw. Oprócz wrogów wewnętrznych, którzy ważyli się krzyczeć na ulicach „precz z Polską!“, oprócz żywiołów bandyckich i mas obojętnych, grupy ludzkie, które powinny były skupiać się i współdziałać, a nie mogły znaleść wspólnego słowa. Mówiły, jak przedstawia to Marszałek, każda odrębnym żargonem, niezrozumiałym dla drugiego kółka; daremnie chciał je zbliżyć i stowarzyszyć, nie rozumiały się wzajemnie. Wytworzone zaborami różnice przejawiały się nawet w takich drobnostkach, jak rozmijanie się na drogach: Austrjacy uczyli nas jeździć lewą stroną drogi, a Rosjanie prawą i to już było dostateczną przyczyną niejednego zderzenia i niejednej kłótni. Inne „lewo“ i „prawo“ gorszym jeszcze groziło konfliktem. Polska była jak okręt źle spojony i przeciekający, rzucony na burzliwe fale.

Słusznie podnosi Dmowski żywotność naszego narodu, która przezwyciężyła to wszystko, ale nie sądzi, aby wódz narodu miał w tej sprawie także pewną zasługę — ten, który był wtedy prawie dyktatorem, dzierżył władzę cywilnę i wojskową o nieograniczonej jeszcze kompetencji. Dzieło świadczy o działaczu. Ten, kto kierował Polską w latach niebezpiecznych i tak ją wykierował, jak widzimy, dowiódł, że jest dzielnym mężem stanu. Przeciwnicy jego mogą temu przeczyć, tak jak potrafią mu przeczyć czci i wiary, a jednak oni sami, nietylko zaraz w początkach, ale podczas najazdu bolszewickiego, już po Kijowie, dali Józefowi Piłsudskiemu votum zaufania. Wszakże kilku z tych panów zasiadało w Radzie Obrony Państwa, gdy Naczelnik spytał ich wprost, czy mają do niego zaufanie — a Rada odpowiedziała: tak. Jeżeliby ci panowie wtedy chcieli odpowiedzieć inaczej, a zostali przegłosowani, mogli byli zaznaczyć swój protest; skoro tego nie uczynili, to znaczy, że wraz z innymi odpowiedzieli twierdząco. Szczerze odpowiedzieli, czy nieszczerze? To pewna, że okręt był w niebezpieczeństwie, że oni, tak jak wszyscy, bali się utonąć i serdecznie chcieli powierzyć swe losy najmądrzejszemu, najdzielniejszemu.

Od tej pory nie mieliśmy dzięki Bogu większego niebezpieczeństwa i konieczności sprawdzenia kogo instynkt samozachowawczy Narodu powołałby na ratunek.

Marja Zawiszyna.

PO KĘTACH [2])

Warczą karabiny i dzwonią pałasze —
znów Piłsudski wyszedł w pole,
a z nim chłopcy nasze.

Wodzu nasz, ty wodzu, przewódź świętej sprawie,
a każ trąbić trębaczowi
gdy staniesz w Warszawie

Wtedy wszystkie dzwony krakowskie zadzwonią
a kolumnie zygmuntowskiej
Tatry się pokłonią.

Gdy staniesz w Warszawie, wodzu — strzelcu szary,
przydepc nogą z ostrogami
gniazdo carskiej wiary.

Gdy staniesz w Warszawie na królewskim grodzie
to poleci do rozprawy
co jest sił w narodzie.

A Wisła rozniesie falami jasnemi,
że nie będzie już Moskala
na piastowskiej ziemi.

Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI

Roman Dmowski tak pisał w 1903 r. w „Przeglądzie Wszechpolskim“ o Józefie Piłsudskim:

...„Bo jeżeli człowiek łagodnego, cywilizowanego charakteru, z niepoślednim poziomem umysłowym a zatem człowiek, który musi mieć odpowiednio wysokie potrzeby, skazuje się na życie w ciągłym niepokoju i niebezpieczeństwie, jeżeli trwa w tem życiu pomimo kilkukrotnego zesłania na Syberję i pomimo dłuższego więzienia, jeżeli przy silnie nadwątlonem zdrowiu prowadzi w pogodzie ducha nieustanną egzystencję tropionego wilka, byle służyć swej ukochanej idei, to każdy się zgodzi, że człowiek to pod względem siły moralnej — wyjątkowy“...

[1]) Autorka, w myśl rozumowania p. Dmowskiego, który uważał, „że wrogów nie należy drażnić“ — jest zdania, że i wobec tych wrogów — jak ich nazywa Dmowski — trzeba było trzymać się tej zasady. *(Przyp. Red.)*

[2]) Wiersz ten dotychczas niedrukowany, napisany przez leg. R Scholza w Piotrkowie (1915), jest wyrazem uczuć i wiary w moc i przeznaczenie Komendanta.

Komendant wśród swoich w Sulejówku (1925)

KS. JÓZEF PANAŚ

RARAŃCZA — HUSZT — MARMAROSZ SZIGET — 1918 ROK

(CIĄG DALSZY)

Ukryć tajemnicę, która w tej samej chwili rodzi się we wszystkich mózgach nastrojonych na ten sam ton, na tę samą długość fali, jest rzeczą niemożliwą, bo tajemnicę tu odkryją swemi nerwami odrazu wszyscy, którzy dążą do tego samego celu.

Piętnastego rano, panował bezwzględny spokój.

Rano odprawiłem Mszę św., myśląc, że to może ostatnia, a w każdym razie ostatnia na długi czas.

Żołnierze spotykają mnie na ulicy i z tajemniczą miną pytają: Czy to dziś?

Cóż, powiadam, ma być dziś, to, co i jutro!

„Ja wiem, że to tajemnica, powiada stary legun, ale my się przecież od Karpat znamy, to mnie można ufać".

Dziś, czy jutro — powiadam — wszystko jedno, każdy żołnierz powinien być zawsze gotów na wypełnienie rozkazu.

A więc dziś wnioskuje legun i zaciera ręce z radości.

Jeżeli inicjatywę, jakiegoś ważnego czynu można przypisać masie ludzkiej, to z pewnością odnosi się do krwawego czynu drugiej brygady 15. II. 1918, który to czyn stanowi punkt szczytowy w historji II. żelaznej Brygady. Czyn ten powstał wprost z fizyczną koniecznością w duszy polskiego żołnierza i nie było żadnej siły, któraby ten czyn odwrócić mogła. Legjonista, obok instynktu samozachowawczego dyktującego mu, że żołnierz polski istnieć powinien, nawet w najcięższych warunkach, choćby trzeba było wargi z bolu i uczucia zemsty przegryzać i byle doczekać pomyślnej chwili, ten sam żołnierz miał także silne poczucie honoru, które mu mówiło jasno drugą zasadę, że broni wziętej do ręki, celem walki o wolność narodu bez sromoty złożyć nie można, a jedyną żołnierską odpowiedzią na wschodnie czy zachodnie matactwa jest ostrze bagnetu i strzał karabinu.

III. Przebojem.

Dla zachowania ścisłej tajemnicy i zmylenia władz austrjackich, na wypadek, gdyby się o akcji dowiedziano, przygotowano pisemny rozkaz o nocnych ćwiczeniach II. Brygady w połączeniu z artylerją i kompanjami saperskiemi.

W południe 15. II. ukazał się defitywny rozkaz wymarszu. Piechota, która miała wykonać ten demonstracyjny marsz ćwiczebny, wymaszerowała ze swoich stanowisk o godzinie 6 popoł. O godzinę wcześniej miała wymaszerować artylerja z Kocmania, a inne oddziały z Łużan, Mamajowic i Sadagóry, które miały maszerować szosą, wymaszerowały o godzinie 8 wiecz. Według rozkazu wszystkie oddziały miały zająć swe zasadnicze pozycje do wykonania ataku na austrjaków na linji Rarańcze Mahula o godzinie 10·45 wieczorem.

Po ogłoszeniu rozkazu zaczęło się pakowanie trenu, może trochę zagłośne, bo nawet baby wiejskie zaczęły się dopytywać dokądto Legjoniści, tak nagle odchodzą.

Najdzielniejszego wojownika żydowskiego, przy-

prowadziła niegdyś do zguby niewiasta, wydostawszy od niego za pośrednictwem pieszczot tajemnicę jego potęgi.

Ta historja niestety często się powtarza. Tak było i w naszym wypadku, bo jak się później pokazało, władze austrjackie miały wiadomości o gotującej się rewolucji za pośrednictwem kobiet i żandarmerji, już o godzinie 2 popołudniu. Na szczęście austrjacki komendant żandarmerji w Czerniowcach nie dał wiary babskim plotkom.

Przed wymarszem trzeba było koniecznie opróżnić szpital legjonowy, bo chorych nie można było, ani brać ze sobą, ani zostawiać na łasce losu. Główna trudność była w tem, że dokumenty podróży były dobrze zamknięte w skrzyni, a klucze do niej były wprawdzie w polskich, ale nieświadomych c. i k. rękach. Spróbowałem jednak dostać się do tej skrzyni, za pośrednictwem chorążego Gumińskiego, który wprawdzie zrobił wielkie oczy, gdy mu zaproponowałem wykradzenie większej ilości tych drogocennych papierków, ale gdy go zapewniłem kapłańskiem słowem honoru, że ich na złe nie użyję, ani jego na nieprzyjemności nie narażę, postarał się o klucz. W Dowództwie korpusu była pustka. Gen. Zieliński wyjechał do pułku artylerji w Kocmaniu, aby z mjr. Zagórskim ułożyć plan ćwiczeń artylerji. Zastępca szefa sztabu kap. Pomazański nie wiedział o niczem, zdziwił go tylko nadesłany z 2 brygady szkic do ćwiczeń, który był wykonany bez porozumienia ze sztabem, a jeszcze bardziej wiadomości, które przynieśli mu dwaj przydzieleni do Legjonów Czesi: weterynarz Postolka i poczmistrz Bier, opowiadając, że wszyscy Legjoniści i ich własni podwładni, nawet ordynansi robią bunt, Marschbereitschaft, pakują się i mają zamiar maszerować do Rosji.

Była to bardzo poważna chwila, bo kilku ludzi nieuświadomionych lub obcych nam duchem mogło nas wpędzić w matnię nie do wyjścia. To też dla ratowania sytuacji zacząłem się śmiać do rozpuku z naiwności panów „sim-czechów“ a zastępcy szefa sztabu powiedziałem, że się bardzo dziwię, że nawet i on dał się wziąć na legjonowy kawał i wierzy w jakiś bunt czy rewolucje, podczas gdy już wszystkie baby od dwóch dni wiedzą w Łużanach i okolicy, że z rozkazu A. O. K. mamy w najbliższych dniach maszerować do Kołomyji, gdzie nas mają zawagonować i odwieść z powrotem do Królestwa.

Dla kpt. Pomazańskiego to tłómaczenie wystarczyło, bo znał widocznie tajny rozkaz translokacji na front rumuński, ale zacni Czechowie nie chcieli w to wierzyć. Jakto pytali dalej — wracamy do Warszawy, a po co najlepsze konie z uprzężą, a bez wozów maszerują do artylerji w Kocmaniu?

„No, prosta rzecz, że do artylerji, która ma mieć wkrótce popisowe ćwiczenia, na które zapowiedział przyjazd excellencja komendant 7 armji. Czułem, że jednak moje argumenta nie zupełnie mają moc przekonywującą, więc musiałem ich pilnować, by się coś złego nie stało, dopóki nie zostanie zadecydowane, co robić z tymi panami, którzy się z nami nie solidaryzują. Aby sobie ułatwić zadanie, sprowadziłem sprawę na tory typowo-wojskowe. „Proszę panów dziś wieczór na małą bibę, którą urządzam razem z Dr. Tatkowskim. No, co takiego?

Założyłem się z doktorem, że puszczę tak sprytnie zbudowaną plotkę, że za 24 godzin obleci całe legjony i wszystkie dziesięć wsi gdzie są rozlokowani — a widzę, że zakład wygrałem, skoro takie grube ryby dały się wziąć na fałszywy alarm.

Nadzieja wieczornej zabawy rozbroiła i uspokoiła umysły — na czas wystarczający.

Pomazański poprosił mnie do kancelarji operacyjnej, gdzie jeszcze wszystko funkcjonowało w porządku. Na stole leżał rozkaz II brygady o ćwiczeniach, które się miały odbyć 16. II. o godzinie 8 rano. Do rozkazu był dołączony szkic sytuacji własnej i nieprzyjacielskiej. Zasada ćwiczeń była następująca: nieprzyjaciela rozbitego na linji Cecine Roch—Mamajesti ścigać w kierunku wschodnim.

Sytuacja w sztabie była jednak ciągle jeszcze niewyraźną, bo wprawdzie podoficerowie wszyscy byli już wtajemniczeni i byli bezwzględnie pewni — mimo to jednak połączenie telefoniczne z Komendą 7 armji było denerwującem. Na szczęście zjawił się w Łużanach podpłk. Żymirski równocześnie z kpt. Góreckim, któremu oddał komendę nad całym sztabem korpusu legjonów i polecił wszystkich opornych aresztować. Gen. Zielińskiego jeszcze nie było. Chcąc mu zaoszczędzić przykrości aresztowania, po porozumieniu z Góreckim, zaproponowałem sfingowanie depeszy wzywającej gen. Zielińskiego na konferencję do sztabu 7 armji w Kołomyji — gdzie go miał odwieść kpt. Lewartowski, który jednak odmówił wykonania tej propozycji, motywując tem, że to wyglądałoby na chęć wystrychnięcia generała na dudka, a na to nasz kochany Zieliński mimo wszystko przecież nie zasługuje.

Nie pozostało więc nic innego jak dać generałowi wóz i przewóz.

To też gdy po jego powrocie zbiegli się do niego wszyscy przydzieleni c. k. oficerowie, zadanie kpt. Góreckiego było ułatwione. Wziął pluton żołnierzy z kompanji arlarmowej 2 p. piechoty pełniącej pod dowództwem por. Marka służbę inspekcyjną, otoczył sztab i wszedł do kancelarji gen. Zielińskiego. Tutaj oświadczył generałowi, że na rozkaz Komitetu narodowego wszystkie oddziały polskie mają się połączyć pod komendą gen. Dowbora-Muśnickiego, wobec tego legjony polskie w dniu dzisiejszym przekroczą front austrjacko-rosyjski, aby podążyć do Muśnickiego. „Wobec tego zapytuję pana generała, czy się z nami solidaryzuje czy nie. Gdy gen. Zieliński kategorycznie oświadczył, że nie, kpt. Górecki wziął go pod przymus wojskowy stawiając obok, niego żołnierza z najeżonym bagnetem. To samo pytanie postawił kpt. Górecki Dr. Rogalskiemu, mjr. Ganczarskiemu,

kpt. Pomazańskiemu, Postolca i Bierowi, a gdy wszyscy oświadczyli swoją solidarność z gen. Zielińskim zostali, wszyscy aresztowani.

Dziwna to była chwila — nie ulega wątpliwości, że tak gen. Zieliński, jak Dr. Rogalski i inni byli c. k. oficerami, zżyli się z ideją niepodległości Polski — kochali legjony nad życie — jednak czuli się związanymi przysięgą wierności dla cesarza i gdy jednego z nich, dawno już zupełnie zleguniałego, zacząłem po przyjacielsku przekonywać — posłyszałem epitet: „zdrajca“.

Nic dziwnego. Długoletnia służba, jak obroża wżera się w ciało człowieka i niełatwo jest pozbyć się tej obroży.

Ogłoszony areszt nie był zresztą srogi, bo jednak wszyscy, nie wyłączając Czechów, Rusinów — a nawet i Niemców, którzy przydzieleni do legjonów powoli legunieli — wszyscy w gruncie rzeczy uznając ciężką krzywdę, jaką nam wyrządzono, sympatyzowali z naszym rycerskim odruchem. Wszak nawet robotnicy piekarni polowej, wśród których była istna mozaika narodowości — a względną większość tworzyli Rusini — pomaszerowali solidarnie z legjonistami.

To też po paru kwadransach cały sztab po za generałem i Czechami został zwolniony z aresztu, gdyż Dr. Rogalski, mjr. Ganczarski i kpt. Pomazański oświadczyli, że pójdą z nami, jeżeli dla zabezpieczenia bytu ich rodzin otrzymają poświadczenie, że zostali przez legjonistów aresztowani i zabrani pod przymusem. Poświadczenie takie wystawił im nasz idealny Romcio — zostawiając ten cyrograf na własną szyję w rękach kpt. Lewartowskiego, który ze wszystkiemi aktami sztabowemi miał zostać na miejscu w Łużanach.

Straż nad jedynie naprawdę aresztowanym gen. Zielińskim, który w przystępie melancholji usiłował sobie życie odebrać — objął rotmistrz żandarmerji Okołowicz.

Gdy pakowałem swoje rzeczy na kwaterze zjawiło się u mnie dwu cywilnych panów niby z Zadobrówki, których widok dość silnie mnie zdenerwował, bo w tej chwili wpadło mi do głowy podejrzenie, że to szpiedzy. — Otóż panowie ci przyszli mnie prosić, abym jutro t. j. 16 lutego o godzinie 9 rano odprawił pogrzeb ich ojca. Naturalnie najsolenniej im to przyrzekłem — kazałem po siebie przyjechać końmi, a na ich pytanie czy przypadkiem nie będę przeszkodzony, bo legjoniści mają „Marschbereitschaft“, odpowiedziałem im, że mnie to niedotyczy, bo przecież kapelan nie musi chodzić na nocne ćwiczenia. Niestety nie mogłem się dowiedzieć kim byli naprawdę owi dwaj panowie i czy im naprawdę ojciec umarł.

O godzinie 7·30 wśród ciemności bezksiężycowej nocy zaczął się w Łużanach silny ruch. — Od mostu wzdłuż wsi ustawiły się na szosie kolumy trenowe, niestety zbytnio obładowane i ociężałe. Wieś jakby wymiotł, tu i ówdzie tylko błyska lamka elektryczna. W domach pogaszono światła, stacja kolejowa głucha, zwrotnice zupełnie ciemne. — Gdy się żegnałem z gospodarzem — prawosławnym rusinem, rzekł mi na drogę: „My znajem panoczku szo idete wojuwaty z nimciami i madyarami — Boh z wami“.

Przed szkołą usiadłem na swoją Baśkę, która jeszcze na Wołyniu musiała mnie dźwigać na swoim grzbiecie i ruszyłem w Imię Boże razem z oddziałem sanitarnym. — Kasa główna — znajdowała się w szkole, ale coś tam koło niej długo marudzono, więc kolumna pomaszerowała naprzód, a ja z por. Barzykowskim pozostałem, aby przypilnować mamony, która się może przydać w tak dalekiej drodze. Byliśmy na tyle naiwni, że zabieraliśmy całą ciężką kasę zaprzęgając do wozu cztery konie — zamiast poprostu zabrać samą mamonę.

Marsz zresztą odbywał się cicho i spokojnie aż do wschodniego wylotu wsi Mamajowce.

(C. d. n)

JÓZEF BIAŁYNIA CHOŁODECKI

TADEUSZ, JAN I HALINA DOŁĘGA-GRABSCY

(DOKOŃCZENIE)

W dniu 9 stycznia r. 1919 odszedł z Płocka pierwszy oddział ochotników.

Łatwo zrozumieć jakie wrażenie wywoływała w sercach i duszach młodych Grabskich organizacja odsieczy, podniecana odezwami kobiet polskich Lwowa i Krakowa, odrzucającemi wszelkie pertraktacje z wrogiem, a nawołującemi do czynu.

— Kochani rodzice, pozwólcie nam w myśl danej obietnicy, podążyć w szeregi ochotnicze; udzielcie nam błogosławieństwa, iżbyśmy zdołali spełnić godnie ciążący na nas obowiązek.

— Niech was Bóg prowadzi — odrzekł ojciec — i powróci rychło cało, zdrowo i szczęśliwe progi. Oto macie jako talizman, ryngrafy z Matką Boską Czę-

stochowską z wyrytemi nazwiskami na odwrotnej stronie. Pamiętajcie, że służba żołnierska to nie zabawka, to nie przelewki. Czeka was tam chłód, głód, mitręga, plugastwo i wiele jeszcze, wiele innych udręczeń. Namyślcie się dopóki czas, gdybyście bowiem mieli dopiero później cofnąć się z placu bojów, wiedzcie, iż nie wolno wam zwać się moimi synami.

— I ja, i ja proszę o pozwolenie — zawołała z zapałem Helena i poczęła obcałowywać ręce rodziców.

— Tobie nie możemy udzielić błogosławieństwa nie jsteś młodzieńcem, a lata Twoje nie odpowiadają warunkom, służby kobiecej na terenie bojów...

— — — — — — — — — — — —

Poszli dwaj bracia... a za nimi wymknęła się pokryjomu siostra i podążyła ku wschodowi na nieznane losy... Kryjąc się pod ławkami wagonów, żywiąc się suchemi bułkami, uzbieranemi ze śniadań szkolnych, przybyła do Lwowa.

Wrzała tymczasem na ziemiach Wschodniej Małopolski w całej pełni krwawa rozprawa z najazdem Rusinów.

Po wyparciu z miasta najazdu ruskiego, zawrzały gorące boje na obszarach dawnych grodów czerwieńskich, Lwów zaś był ustawicznie celem zaciekłych ataków nieprzyjaciela.

W pierwszej zaraz chwili stanęły do apelu obok mężczyzn liczne zastępy kobiet. Jedne kierowały kuchniami żołnierskiemi, drugie pełniły pełne niebezpieczeństw służbę kurjerek i samarytanek, a znów inne pospieszyły do orężnej z wrogiem rozprawy, a wszystkie stwierdziły szczytne zalety, odziedziczone po matkach i babkach swoich.

Dzięki zabiegom Aleksandry Zagórskiej, we Lwowie zorganizowano kobiety w „Ochotniczą Legję“ w regularne, karne zastępy, które podążyły rychło w bój i zadziwiały świat cały pierwszym, nieznanym w dziejach, m a s o w y m heroizmem.

Do grona tych dzielnych Polek należała Halina Grabska, która w czasie gdy bracia Tadeusz i Jan wstępywali w szeregi ochotnicze, zgłosiła się z prośbą o wpis do „Legji Kobiecej“. Nie łatwo zdołała uzyskać spełnienia gorących pragnień. Nader młody wiek — szesnasty zaledwie rok życia — brak sił i doświadczenia, wywoływały w biurach poborowych wątpliwości i obawy. Siła woli i szczere pragnienie ziszczenia zamiarów, pokonały atoli ostatecznie wszelkie trudności, a chwycony w drobne dłonie karabin dodał animuszu dzieweczce. Pełniła gorliwie służbę żołnierską, odbywała ćwiczenia bronią, narażała się śmiało na grożące żołnierzowi niebzpieczeństwa.

Przeżywała tymczasem w Płocku rodzina Grabskich długie dnie i noce niepewności losu młodocianych ochotników, gdy oto w kwietniu r. 1919 poczęły bić gromy w serca stęsknionego rodzeństwa.

Pierwsza hiobowa wieść nadpłynęła o śmierci Haliny, która w obrębie dworca kolejowego we Lwowie złożyła 11 kwietnia młode życie swoje na ołtarzu Ojczyzny. Została po niej niewysłana jeszcze do koleżanki kartka: „Czy wyobrażasz sobie jakam szczęśliwa? Jestem nareszcie z tymi, którzy bronią Ojczyzny“.

W cztery dni później poległ chlubną śmiercią w Rawie Ruskiej brat Jan, ochotnik przy karabinach maszynowych 8 pułku, a niebawem odniósł pod Czyszkami najstarszy wiekiem, liczący lat 19 bohater Tadeusz, ciężkie rany. Przewieziony ze szpitala w Przemyślu do Płocka, zakończył tam swe życia.

I oto zapisały regestra „Krzyża Walecznych“ trzy odznaki dla trojga orląt rodziny Grabskich.

Krzyż Jana Grabskiego zawisł na tablicy poległych uczniów II gimnazjum im. Małachowskiego w Płocku, jaką ozdobiono w trzy lata później mury gmachu szkolnego. Krzyż Haliny Grabskiej podjął we Lwowie Jej ojciec, gdy w marcu r. 1924 zjechał tutaj po odbiór zwłok ukochanego dziecięcia.

Piękna była zaprawdę uroczystość, z jaką żegnała stolica Wschodniej Małopolski wiezione w rodzinne strony szczątki bohaterki, które przez lat pięć niespełna kryła w swem wnętrzu mogiłka, jedno z owych dwutysięcy niespełna mogił, widniejących na drogim sercu każdego Polaka „Cmentarzyku Obrońców Lwowa“. W dniu 18 marca r. 1924 ekshumowano zwłoki Haliny i umieszczono w kaplicy szpitala wojskowego, w dwa dni później zaś przewieziono z honorami wojskowemi na dworzec kolejowy. Kondukt poprzedzała orkiestra 19 pułku piechoty — trumnie asystował honorowy oddział żołnierzy, towarzyszyli wyżsi oficerowie, zrzeszenie „Związku Obrońców Lwowa“, młodzież akademicka i liczne zastępy publiczności. Wśród dźwięków hymnu państwowego ruszył pociąg w kierunku Rawy Ruskiej, gdzie odbył się kondukt zwłok Jana Grabskiego. Nad przeniesioną z cmentarza 120 polskich mogił grobowych trumną, odprawiło modły sześciu duchownych w kościele parafialnym, poczem ponieśli żołnierze na barkach swoich szczątki na dworzec kolejowy. W pochodzie postępowały szkoły ludowe i gimnazjalne z nauczycielami na czele, dalej siostry zakonne w swych białych habitach, oddziały policji państwowej i miejskiej tudzież zastęp inteligencji.

Olbrzymią manifestacją była uroczystość pogrzebowa w Płocku, gdzie już w przeddzień oczekiwały tłumy przybycia pociągu. Przywiezione zwłoki w dwóch trumnach, białej i czarnej, ułożono na umajonych zielenią armatach i odstawiono w otoczeniu wojska, harcerzy, stowarzyszeń i tłumów publiczności do kościoła garnizonowego. Nazajutrz odbył się właściwy akt pogrzebu, jakiego nie pamiętał Płock od lat kilkudziesięciu. Trumnom ustawionym na armatach towarzyszyły w powolnym pochodzie wśród dźwięków dwu orkiestr i bicia dzwonów oddziały wojska i harcerzy, dalej kroczył korpus oficerski, przedstawiciele władz, cechy, zrzeszenia i nieskończony łańcuch młodzieży szkolnej. Zdjęte z armat zwłoki przenieśli do grobu rodzinnego koledzy poległych, poczem siedmiu mow-

ców uczciło podniosłemi wyrazami pamięć i zasługi zmarłych.

W parę tygodni później złożyli mistrze wiązanego słowa młodym orlętom hołd, utworami ogłoszonemi na łamach czasopisma „Dziennik Płocki".

ORLĘTA

Ś. p. Halinie, Janowi i Tadeuszowi Grabskim w hołdzie

Baczność! Prezentuj broń! Bojowe chyl sztandary!
Powraca do nas chwała... z dalekich wraca stron...
Niech warczą bębny, trębacze grzmią fanfary
Niech się przystroi piastowski gród prastary,
I niech na wieży królewski zagrzmi dzwon!

— — — — — — — — — — — —

Baczność! Prezentuj broń!
Dwie trumny na lawecie,
W nich Orlęta, co broniły zagrożony Lwów,
Dziewczątko lat piętnaście — Mazowsza polne kwiecie,
Szła z karabinem w dłoni w wojennych laur zamiecie,
Szukać ziszczenia — o Polsce złotych snów!
I uczeń płockiej szkoły, druch związku Macierzy,
Na pierwszy jęk męczeński biegł w śmiertelny bój,
A wzorem chrześciańskich, kresowych rycerzy
Legł od kul hajdamackich na wschodniej rubieży,
Za Boga i Ojczyznę i za Sztandar swój!

— — — — — — — — — — — —

Na spotkanie Walecznych naród wyległ tłumnie,
By Czynom wiekopomnym hołd dziękczynny nieść...
Spoczną w glorji przy Brata-Bohatera trumnie
Co padł — podobny gromem strzaskanej kolumnie.
Baczność! Prezentuj broń!
Polska im składa cześć!...

Janina Gawin Waśniewska (Zbigniew Orlicz)

W Wielkim dniu, który obchodził Płock 26 marca 1924 roku.

Z POBYTU LEGJONISTÓW W SŁAWKOWIE

(DOKOŃCZENIE)

Zwracaliśmy także uwagę na wysokość cen za artykuły pierwszej potrzeby, bo skakały one wciąż w górę dowolnie i nie było nikogo, ktoby tę lichwę ukrócił. Z nadesłanych na nasze żądanie cenników specjalna komisja przy udziale legjonistów ustalała co jakiś czas ceny.

Z drugiej zaś strony, widząc trudności w sprowadzaniu różnych artykułów, szliśmy na rękę miejscowej ludności, jak się tylko dało. Naprzykład, za kwatery nie płaciliśmy gotówką — nie dlatego, że to była rekwizycja, bo legjoniści nigdy z praw bezpłatnej rekwizycji nie korzystali, ale w Sławkowie wartość pieniądza w pewnych warunkach była problematyczną. Rewanżowaliśmy się tedy za kwatery w ten sposób, że właścicielom domów wydawaliśmy podwójne porcje węgla i nafty, których brak był wielki — połowę z tego obracali oni na opalenie i oświetlenie kwatery legjonisty u nich mieszkającego, drugą zaś połowę brali sobie. Potem po cenach wojskowych sprowadzaliśmy naftę całemi beczkami i odstępowali bez zarobku ludności cywilnej.

W ten sam sposób szła pomoc nasza w kierunku zdobycia chleba dla Sławkowa. Z piekarni wojskowej w Olkuszu szły na nasz adres wagony chleba „komiśnego", które oddawaliśmy zawiązanej przez nas spółce chrześcijańskiej kupców sławkowskich do drobnej rozsprzedaży po cenach przez nas zatwierdzonych.

Zastraszający procent analfabetów wśród ludności miejscowej zwrócił naszą uwagę na szkołę, której budynek stał zamknięty, a personel nauczycielski nieobecny. Momentalnie w gronie pań departamentowych znalazły się nauczycielki i szkołę otworzyliśmy, zastosowując, kto wie czy nie pierwszy w tej części kraju przymus szkolny, przeciw któremu nawet zbytnio nie oponowano.

Z biegiem czasu rosło do nas zaufanie ludności, które znalazło swój konkretny wyraz w wzracaniu się do Komendy placu, jak do sądu, o wydanie wyroku w całym szeregu spornych spraw. Nikt tego nie protokółował, więc i liczby ich nie pamiętam, ale w ciągu tygodni naszego pobytu w Sławkowie z pewnością było ich ponad setkę. Odbywaliśmy formalne sądy z przesłuchiwaniem stron i świadków, zapraszałem zawsze dwóch kolegów na asesorów i tak kolegjalnie rozstrzygaliśmy wedle najlepszej naszej wiary i wiedzy zawiłe nieraz sprawy i spory sąsiedzkie i rodzinne. Żywo n. p. stoi mi przed oczyma scena, jak jakiś żyd przyprowadził 18-letniego swego syna, by go ukarać, bo on z nożem rzucił się na matkę swoją. Poszedł za to do ciupy na trzy dni o chlebie i wodzie — na dłużej miejsca nie było w areszcie magistrackim, który wciąż był pełny.

Niedługi był nasz pobyt w Sławkowie — nie całych sześć tygodni, a jednak jakże odmienne na-

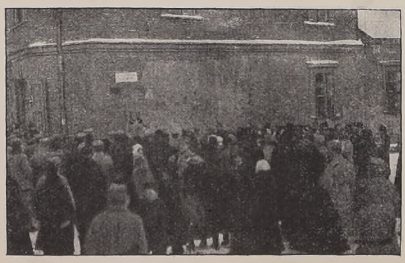

Por. Wąsowicz przemawia do ludności w Sławkowie 1915 r.

stroje wśród jego mieszkańców towarzyszyły naszemu odejściu, niż wtedy, gdyśmy tam przybyli.

Na urządzanych z początku przez nas wiecach pod gołem niebem, na których mówiliśmy zapalnie o potrzebie walki z Moskalami — słuchały nas przeważnie tylko zimne mury rynku sławkowskiego lub niewiele co cieplejsze od nich serce ich mieszkańców. Po paru zaś tygodniach ochotnik sam szedł ze Sławkowa i okolicy do Legjonów.

Ukoronowaliśmy zaś nasz pobyt w Sławkowie spolszczeniem nazw jego ulic, które nosiły jeszcze nazwy o moskiewskich reminiscencjach, jak Petersburska, Mikołajewska, Aleksandrowska i t. p.

Biuro technicze Departamentu Wojskowego wymalowało nowe szyldziki na rogi ulic z napisami: ul. Tadeusza Kościuszki, ul. Bartosza Głowackiego, ul. Henryka Dąbrowskiego, ul. Legjonów Polskich, plac Kazimierza Wielkiego. Tablice te poświęcił proboszcz sławkowski pewnej niedzieli po nabożeństwie i udaliśmy się procesją z chorągwiami kościelnemi i muzyką po Sławkowie, by zrywać dawne napisy, a przybijać nowe. Lud szedł tłumnie i słuchał przemówień naszych, które wygłaszane były przy każdej zmianie tablic z objaśnieniem, dlaczego cześć oddajemy temu imieniowi. Po tem śpiewaliśmy pieśni narodowe i szliśmy dalej z tą jedyną w swoim rodzaju procesją narodową.

Tak zniknęły ostatnie w Sławkowie ślady moskiewszczyzny. *Wł. Dunin-Wąsowicz*

Przed wojną organizatorowie i pracownicy w ruchu ludowym i „Strzelcu" (stoją) ofic. leg. Z. Zygmuntowicz, W. Wąsowicz i podof. J. Czech (siedzi) podof. J. Berek (dzisiejszy poseł na Sejm). — Przypadkowe spotkanie się w Sławkowie w lutym 1915 r.

DLA CIEBIE POLSKO!

Ś. p. Skulski Mieczysław (Jurand), kapral 1-go pułku piechoty brygady Józefa Piłsudskiego.

Urodził się w Delatynie w 1895 r. Jako uczeń I szej szkoły realnej we Lwowie, już od lat najmłodszych marzy o powstaniu polskiem, sposobi się do życia wojennego najpierw, jako harcerz, a następnie członek Związku strzeleckiego. Któż z lwowiaków nie znał Mieczka Skulskiego, tego zapaleńca, organizatora, zdolnego chemika, prezesa czytelni szkolnej i przeróżnych kółek I-szej szkoły realnej.

Młoda głowa paliła się do czynu, a dumne błękitne oczy wyrażały powagę myśli Już w r. 1912, jako 16 letni chłopak, mówi z zapałem o przyszłej wojnie, o swym współudziale, o zmartwychwstaniu Polski — ba — nawet przepowiada śmierć swoją: „Pójdę także i kulą w głowę dostanę".

Gimnastyką, długiemi marszami i twardem życiem (wygód nie uznawał) ćwiczy swe siły fizyczne, przygotowując się w ten sposób do zbrojnego czynu. Ducha zasila lekturą: „Skaut" i „Wici".

W czerwcu 1914 r. składa egzamin dojrzałości w I-ej szkole realnej we Lwowie, a już w drugiej połowie sierpnia wyrusza do Krakowa i wstępuje do Legjonu Zachodniego. Z „Oleandrów" pisze do rodziców: „Jeszcze jestem w Krakowie i z tydzień tu zostaniemy. Jest mi tutaj bardzo dobrze, a tyle pracy, że prawie nie mam czasu myśleć, co się w domu dzieje. Miałem być przeniesiony do artylerji, ale wykręciłem się, bo wolę być ze swoimi. Dostajemy pruskie karabiny, bo manlicherów już niema. Z upragnieniem oczekuję wymarszu w pole..."

Do pierwszej walki z odwiecznym wrogiem staje 19 września 1914 r. pod Nowym Korczynem. Pisze o tem p. Wyszyńska w liście: „Przed zajęciem Lwowa, zaraz na początku września widziałam się z Mieczkiem dwa razy w Krakowie w Krzysztoforach. Drugi raz już po tak zwanym „chrzcie ognia". Był mianowicie z całą swoją kompanją z Piłsudskim pod Korczynem. Wrócił. Opowiadał z ogromnem zapałem — wprost ognie mu się sypały z ócz — o swojej patroli, gdzie był wysyłany z pięcioma innymi zuchami..."

Pod wodzą swego umiłowanego Komendanta, wyrusza na teren Królestwa polskiego. Pod Laskami 24 października 1914, w czasie dowodzenia patrolą, raniony w kość czołową odłamkiem granatu, przewieziony zostaje do Radomia i umieszczony w szpitalu św. Kazimierza pod zmienionym nazwiskiem, jako żołnierz austrjacki, gdyż Radom zajęli Moskali. Mimo tro-

skliwej opieki pań inteligencji radomskiej i dokonania operacji, na skutek usilnych próśb osób starających się go koniecznie uratować (bo lekarz wzbraniał się operować, nie robiąc nadziei), umiera o godzinie 11-ej, 19 listopada 1914. Na wieczny spoczynek złożony w Radomiu na miejscowym cmentarzu (u wejścia) w jednej z sześciu mogił pierwszych legjonistów padłych za wolność ojczyzny. Nie danem mu było dłużej służyć ojczyźnie, niedanem mu było oglądać jej Zmartwychwstania. Zgasł wcześnie w niespełna 19 roku życia, w skromnej szarży sekcyjnego, nie doczekawszy urzeczywistnienia swych świetlanych snów. Krótki swój Czyn, złożył Polsce w ofierze.

DAWNO TO BYŁO

(ś. p. Leg. I. Brygady M. Skulskiemu, poległemu 1914 r.)

Dawno to było dziecię me kochane...
Rozmowę z tobą prowadziłam długą.
Zmrok już zapadał, a obłok świetlany
Z zachodu kładł się złotą smugą —
Siedziałeś z głową opartą na dłoni,
I myśl twa biegła w dal nieznaną, mglistą,
Mówiłeś wtedy, jak ci dusza płonie,
Byś podjął pracę nad sprawą ojczystą,
A jedna do niej prowadziła droga,
Ku której ramiona wyciągałeś dwoje:
W szeregach wojska polskiego bić wroga,
Polskiego strzelca szare przywdziać stroje.
Kiedyś przedemną nić marzeń rozwijał,
Jakże się gęsta nań kładła zasłona,
Was wiodła wiara, zapał w niebo wzbijał,
A mnie moc przeczuć wtargnęła do łona.
Widziałam krwawe na polu ofiary,
Widziałam młode pogaszone życia,
I mrok mi oczy zasłonił, mrok szary,
I jak przedwczesny dobył się z ukrycia.
Poszedłeś synu, kiedy przyszła pora,
Z dumą na czole i myślą ognistą,
I wtedy mrok był letniego wieczora,
W pożegnań chwilę łzawą, uroczystą,
Żołnierza zawód wymarzyłeś sobie,
Nieba ci w polskim wojsku służyć dały,
Dziś wiązkę smutków kładę na twym grobie
Oby z nich zorze Polsce zajaśniały, — *Matka.*

Tadeusz Kaliszczak, podpor. 2 k. baonu radomskiego, złożonej z ochotników z Częstochowej, Kozienic i Opałowa, zmarł z ran 19 lutnego w szpitalu na technice. Ranny „na Polankach" pod Korczynowem w grupie Sikorskiego. Urodzony w Horodence, jako uczeń VI kl. wstąpił do Leg. wschod. po którego rozwiązaniu przeszedł do Leg. Odbywał służbę w piechocie, następnie I p. art. i I p. ul. Beliny, zawsze jako żołnierz frontowy, przeszedł kampanię I Bryg. bił się nad Styrem i Stochodem. Jedynie z powodu urlopu nie przeszedł z Hallerem na tamtą stronę. Duchem był jednak zawsze z jego żołnierzami. Poległ w 20 roku życia. Pochowany na cmentarzu lwowskim.

Roś Antoni, (Szymanowski) podchorąży instruktor oddziału lotnego P. O. W. w Złotopolu, zginął w ataku na Poryck 2 marca 1919.

Sicheń Albert (Wyrwicz) kapral inst. P. O. W. w Kijowie, zginął w ataku na Oździutycze 6 marca 1919 r.

Adolf Bolesław Wodzisławski, podpor. wojsk polsk. podchorąży P. O. W., kapral 1 pułku art. Brygady Piłsudskiego zmarł 28 lutego 1919 r., przeżywszy lat 21. Pochowany na Powązkach.

W czasie krwawych i zaciętych walk o Lwów, stoczonych w ciągu miesiąca lutego 1919 r. przez 4. p. p. Leg. na odcinku Zboiska—Kościarnia, polegli śmiercią bohaterską: por. J. Leszek, podchor. St. Kropczyński, plut. M. Majcher, sekcyjny L. Zender, M. Rogoża, S. Sojka, J. Pach, szeregowcy: M. Niżankowski, K. Sereda, St. Wanat. St. Mech, J. Kaniowski, J. Markiewicz, A. Krakowian, J. Tylek, J. Desoń, J. Burda i M. Ponulak.

Zwłoki bohaterów złożono na cmentarzyku obrońców Lwowa.

Kazimierz Winnicki, sierżant żand., zabity przez bandytę w służbie 20 marca 1919.

Ppor. Witold Langer, oficer pociągu pancernego „Odsiecz" zmarł z ran otrzymanych pod Gródkiem, 22 marca 1919 r.

OD REDAKCJI

Następny zeszyt wyjdzie w ciądu kwietnia b. r. i zawierać będzie dalszy ciąg pamiętników ks. Panasia, Lipińskiego, Dr. Rogowskiego, Kozickiego, T. Nittmanna i większy artykuł gen. Roji. Oprócz tego, także wiele ilustracyj i zapisków kronikarskich.

Kto nie wyrównał należytości za I szy kwartał, ten nie otrzyma następnego zeszytu.

***Czytelników** naszych, którym zależy na utrzymaniu pisma, prosimy o odnowienie w kwietniu przedpłaty na drugi kwartał b. r.*

***Każdy Czytelnik** powinien zjednać jednego czytelnika a wtedy będziemy mogli dokończyć naszą kronikę.*

Na cele wydawnicze złożyli od 15 lutego do 10 marca: Dyr. Niemiec, Lwów 25 zł, A. Pawlikowski, Lwów 5 zł, L. Rotwand, Warszawa 1 zł.

Polecamy: „Wielki człowiek" (O Komendancie) I. Daszyńskiego. Cena 70 gr. (prócz opłaty pocztowej).

„Bibliografia J. Piłsudskiego" (Konopki i Zygmuntowicza). Cena 2 zł.

Portrety Komendanta na kasztance w druku.

WYDAWCA I REDAKTOR ODPOWIEDZ. Z ZYGMUNTOWICZ. — ADR. RED. I ADMIN. LWÓW, SKRYTKA 98. — TELEF. 22-90
KLISZE WYKONANO W ZAKŁ. CYNKO-GRAF. „A R S", SYKSTUSKA 32. — Z DRUKARNI L. S. T. W. WE LWOWIE, SAPIEHY 77